

HANNA SKARŻANKA

Być wreszcie sobą

605

Na wiosnę 1982 roku ksiądz Jerzy Popiełuszko zapytał mnie, czy nie zgodziłabym się poprowadzić sceny teatralnej przy Muzeum Archidiecezji. To wystarczyło — zgodziłam się bez dalszych pytań, i zaczęliśmy wraz z księdzem Dyrektorem Przekazińskim tworzyć nasz wspólny dom bez kłamstwa, miejsce, w którym można rozmawiać o wszystkim, o czym się myśli. Ze sobą i z publicznością zgromadzoną w nadziei, że usłyszy o tym, co najbardziej boli.

Zaczęliśmy szukać kształtu naszych myśli i emocji w poezji. Wielkiej i trochę mniejszej. Podobnie z muzyką. Był Mickiewicz, Miłosz, Karłowicz, Konopnicka. Byli też Szczepanik i Rinn. Szybko utwierdził się w przekonaniu, że jak Polska długa, ludzie oczekują nie na bez troski śmiech, ale na bliski kontakt emocjonalny, na rozmowę poważną, wręcz paletyczną. Na rozmowę o sprawach, które wydawały się dotąd niejednemu wstydlive, trącające staroświecczyną. O miłości do ziemi, o prawdzie, o pięknie, o ludzkiej tęsknocie do tego, co czyste, o marzeniach.

Tylekroć w życiu zawodowym zawydzani fałszywością sytuacji, w których przyszło nam istnieć, nagle poczuliśmy się prawdziwi, ważni i czysti. Przez dziesięciolecie zwalczyliśmy w sobie kompleks zębności, pogłębiany windowaną sztucznie frekwencją w teatrach i wiecznie wypominaną dotacją do każdego „osobo-fotela”. Teraz naród przyszedł do nas. Spotkał się z nami z własnej woli, bez urzędowego pośrednika. W kościele, pod okiem Najwyższego: Ta nowa sytuacja psychiczna z dotychczasowych błaznów uczyniła Tyrteuszy. Teatralny dialog i spór kazala zastępować monologiem, elegią, pieśnią, piosenką.

Większość z nas zapragnęła jednoznaczności, utożsamienia z wygłaszanym słowem, dostrojenia własnej prywatności do rytmu śpiewanych melodii. Być wreszcie sobą. Wobec siebie samego i wobec innych. Dlatego też pewnie z taką żarliwością powlekały nasze spektakle. Osiem grup aktorów odwiedziło przeszło 120 miast w Polsce. Od Głogowa po Szczecin. Bo ksiądz prosił, bo jakaś grupa rolników pielgrzymowała...

Do grona pionierów: Celinskiej, Zełnika, Chwałibóg, Kolbergera, Szczepanika, Komarowskiej, Szczepkowskiego, Holubka, dotaczali nowi aktorzy. Występowali najczęściej za darmo, godząc się tylko na zwrot

kosztów podróży. W ciągu sześciu i pół roku daliśmy 700 przedstawień. Wzięło i tak — na przykład w styczniu 1985 roku — że na naszej warszawskiej scenie graliśmy 35 razy, choć miesiąc ma tylko 31 dni. Specjalnie dla nas pisali Bryll, Zaleski, Pallasz, Kęszycki.

Szybko staliśmy się miejscem azylu dla tych, których odepchnęła oficjalna scena i jej służebnicy. Wieczory Rysi Krzysztoń, Gintowski, Szczepanika, Olejniczaka, Jakowicza, Hesse-Bukowskiej należały do jasnych punktów naszego programu. U nas — obok piątki laureatów ostatniego konkursu szopenowskiego — wystąpił „dysydent”, Amerykanin rosyjskiego pochodzenia, nie dopuszczony do eliminacji.

W rewanzu organizowano nam ciemniejsze i całkiem ciemne przeżycia. Z czasem przyzwyczailiśmy się i do nich. Mówiłam „swemu” porucznikowi, że nie czuję do niego nienawiści, za to, że mnie nęka. Bo nie czułam. Ba, cieszyłam się, gratulowałam, kiedy awansował. On ze swej strony też dał niejedną dowód kurtuazji, rewanzował się wspomnieniem, jak to wczoraj przejeżdżając obok mego domu, raczył go wskazać żonie: „Tu mieszkała ta wielka aktorka”. Czy dodał: „znów przedwczoraj przesłuchiwana?”. Też wiedział, bo zdążył przywyknąć, że wszystko połoczy się niezależnie od niego. Przesłuchanie się skończy, a my wrócimy do swoich zadań.

notowała — J.K.